

## Henryk Sienkiewicz - Wspomnienie z Maripozy

Byłem tylko jakby przelotem w Maripozie i równie pobieżnie zwiedziłem jej okolice. Byłbym się jednak dłużej zatrzymał i w mieście, i w hrabstwie, gdybym był wiedział, że o kilkanaście mil od miasta żyje w lesie prototyp mego Latarnika. Przed niedawnym czasem pan M., który jednocześnie ze mną był w Kalifornii, przeczytawszy Latarnika, opowiedział mi spotkanie z podobnym do niego zupełnie polskim skwaterem. Opowiadanie to powtarzam wiernie co do treści.

...Po drodze do Big Trees, czyli olbrzymich drzew kalifornijskich, zajechałem do Maripozy. Miasto to liczyło przed niedawnymi jeszcze laty do piętnastu tysięcy mieszkańców, obecnie jest ich dziesięć razy mniej. Wiadomo, że w Nowym Świecie miasta rodzą się jak grzyby, ale też często mają żywot motyli. Tak było i z Maripozą. Póki rzeczka Maripoza przeświecała złocistym dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili się tu górnicy amerykańscy, "gambusinos" z Meksyku i kupcy z całego świata. Potem wszystko to wywędrowało. "Złote" miasta są nietrwałe, bo złoto prędzej czy później musi się wyczerpać. Dziś miasto Maripoza ma z tysiąc mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już na nowo gęstwiną wierzb płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów. Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewywali wieczorami: "I crossed Mississippi", obecnie śpiewają kojoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma "Capitol", trzecie hotel pana Billinga, obejmujący zarazem grocenię, "saloon", to jest szynk, i "bakery", czyli piekarnię. Kilka innych sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego tylko miasta, bo w okolicy mało jest farmerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymimi lasami, w których z rzadka siedzą skwaterowie.

Gdy dylżans nasz wjeżdżał do miasta, było w nim niezwykle ludno, przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do groceni, w której w zamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, farmerowie dostawiają zboże. Lubo emigracja napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych, wysokich dachach i po tym, że między kołami zwykle upięty jest na łańcuchu pies, szop albo niedźwiadek. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Billing, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dżin, whisky i brandy. Na pierwsze wejście poznał on we mnie cudzoziemca jadącego do Big Trees, ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądańszą dla niego klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy jak iskra. Tak po jego ruchach, jak i po twarzy łatwo było poznać, że nie był to Prusak. Z wielkim ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objął, że już jest po brekfeście, ale jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w "dining room".

- Gentleman zapewne z San Francisco?

- O, nie. Z dalszych stron.

- All right! Zapewne do Big Trees?

- Tak jest.

- Jeżeli pan życzy sobie obejrzeć fotografie drzew, wiszą one na dole.

- Dobrze, zaraz zejść.

- Czy długo pan zabawi w Maripozie?

- Kilka dni. Potrzebuję odpocząć, a przy tym chcę widzieć okoliczne lasy.

- Polowanie tu doskonałe. Niedawno zabito pumę.

- Dobrze, dobrze. Tymczasem pójdę spać.

- Good bye! Na dole jest książka hotelowa, w której pan raczysz zapisać swoje nazwisko.

- Dobrze...

Położyłem się spać i spałem aż do obiadu, o którym oznajmiono uderzeniami pałki w blaszaną górniczą miednicę. Zeszedłem na dół i przede wszystkim zapisałem się do książki, nie omieszkawszy do swego nazwiska dodać: "from Poland". Następnie udałem się do "dining roomu". Targ widocznie już się skończył, handlujący rozjechali się do domów, bo do

obiadu zasiadło kilka tylko osób. Dwie familie fermerskie, jakiś jegomość bez oka i bez krawata, miejscowa nauczycielka, która widocznie stale mieszkała w hotelu, i jakiś starzec, o ile z ubioru i broni mogłem wnosić - skwader. Jedliśmy w milczeniu przerywanym tylko krótkimi frazesami: "Chciałbym panu podziękować za chleb" lub "za masło", lub "za sól". W ten sposób siedzący dalej od chleba, masła lub soli proszą o posunięcie tych przedmiotów bliżej nich siedzących sąsiadów. Byłem zmęczony i nie chciałem rozpocząć rozmowy. Rozglądałem się natomiast po pokoju, którego ściany, jak rzekł pan Billing, były zawieszane fotografiami drzew olbrzymich. Więc "Father of the Forest", czyli ojciec lasu, zwalony już. Nie mógł jednak udźwignąć swoich 4000 lat na grzbiecie!

Długość: 450 stóp, obwód 112. Ładny tatuś! Wierzyć się nie chce oczom i podpisom. "Grizzled Giant": 15 łokci średnicy. No! nawet Żydzi nasi namyślaliby się, gdyby im kazano odstawić taką roślinkę do Gdańska. Dusza skakała mi z radości na myśl, że wkrótce zobaczę w naturze i własnymi oczyma tę grupę drzew, a raczej wież kolosalnych, stojących samotnie w lesie... od potopu. Ja, warszawiak, ujrzę własnymi oczyma "ojca", dotknę jego kory, a może kawał jej przywiozę do Warszawy na dowód sceptykom, że naprawdę byłem w Kalifornii. Człowiek, gdy się tak zabłąka, samemu sobie wydaje się dziwnym i mimo woli cieszy się myślą, jak to będzie opowiadał za powrotem i jak miejscowi sceptycy nie będą mu wierzyli, by były na świecie drzewa mające pięćdziesiąt sześć łokci obwodu. Rozmyślenia te przerwał mi głos Murzyna:

- Czarnej kawy? białej?

- Czarnej, jak sam jesteś - chciałem odpowiedzieć, ale odpowiedź byłaby nietrafną, stare bowiem Murzynisko miało białą jak mleko czuprynę i ledwo nogi włączyło ze starości.

Tymczasem obiad się skończył. Wstali wszyscy. Ojciec fermer zapchał sobie żuchwy tytunem, mama fermerka, siadłszy na biegunowym krześle, poczęła się bujać zawzięcie, a córka jasnowłosa, grzywiasta Polly czy Katty, poszła do pianina i po chwili usłyszałem:

- "Yankee Doodle is going down town..."

- Nie mnie brać na Yankee Doodle! - pomyślałem sobie. - Od New Yorku do Maripozy grają mi to panny na fortepianach, żołnierze na trąbkach, Murzyni na bandżach, dzieci na kawałkach wołowych żeber. Zapomniałem! Jeszcze na okręcie prześladowała mnie Yankee Doodle. Z czasem w Ameryce zjawi się zapewne choroba: Yankee-Doodle-fobia!

Zapałem cygaro i wyszedłem na ulicę. Lekki mrok ogarniał przestworze. Wozy się porojeżdżały, emigranci również. Było cicho i uroczo. Zachód rumienił się zorzą, wschód ciemniał. Było mi jakoś wesoło i dobrze. Życie wydało mi się nader przyjemnym, lekkim, swobodnym. Z ogródków przy domach dochodziły mnie śpiewy, gdzieniegdzie wśród krzewów mignęła biała sukienka, gdzieniegdzie para jasnych oczu. Co za śliczny był wieczór! Szkoda tylko, że w Ameryce obywatele mają zwyczaj wieczorami palić śmiecie na ulicy. Zapach dymu bardzo niepotrzebnie miesza się oto z zapachem róż i świeżą wonią pobliskich lasów. Od czasu do czasu z przyległych do miasteczka pól i gęstwin dolatywały odgłosy pukaniny ze strzelb, bo niemal wszyscy mieszkańcy Maripozy są myśliwymi; zresztą ruch już ustał, śmiecie dogorywały. Na ulicy spotkałem kilka osób i nie wiem, czy mimo woli własne swoje usposobienie przenieśli na twarze innych, ale wśród łagodnych blasków zachodu wszystkie te twarze wydały mi się dziwnie zadowolone, spokojne i szczęśliwe.

- Może też - myślałem sobie - żyje się tu cicho, spokojnie i szczęśliwie, w tym nieznanym, zapadłym w lasach kącie świata. Może też w tej amerykańskiej swobodzie dusza tak rozpromienia się i świeci łagodnym światłem jakby robaczek świętojański. Tu przy tym i niegłodno, i niechłodno, i przestrzeni dużo, jest się gdzie rozkurczyć, jest ręce gdzie wyciągnąć... A przy tym te lasy tak spokojne, ach! jak spokojne!... Kilku Murzynów idących naprzeciw mnie śpiewało dość dźwięcznymi głosami, szczęściem nie Yankee Doodle, ale Srebrne nitki.

- Dobry wieczór panu - rzekli uprzejmie przechodząc koło mnie.

I ludzie tu jacyś życzliwi, grzeczni. Doprawdy, gdy przyjdzie starość, pomyślę nieraz o tej cichej Maripozie. Z wysoka doleciał mnie głos żurawi ciągnących gdzieś ku Oceanowi. Rozkołysałem się i rozmarzyłem. Dziwne zebranie wrażeń, ale wróciłem do hotelu prawie rozrzewniony i jakiś tęskny. Począłem myśleć o domu, o moich i także zacząłem śpiewać, ale nie Yankee Doodle. O nie!

Śpiewałem: "U nas inaczej! inaczej! inaczej!"...

- Puk, puk, puk!

- Ciekawym, kto to być może? - pomyślałem.

- Puk! puk!

- Come in.

Wszedł gospodarz. Co u licha! co za kraj! I ten ma minę zupełnie wzruszoną. Zbliży się do mnie, ściska mnie silnie za rękę i nie puszczając mej dłoni, oddala się na długość ramienia, patrząc na mnie tak, jakby mnie chciał błogosławić.

Otwieram usta i moje zdziwienie równa się jego rozrzewnieniu.

- Zobaczyłem w księdze hotelowej - mówi - pan jesteś z Polski?

- Tak jest. Czy i pan Polak?

- O nie! Jestem Badeńczyk.

- To pan był w Polsce?

- O nie! nigdy...

- A więc?...

Moje oczy otwierają się równie szeroko, jak usta...

- Panie - rzecze gospodarz - służyłem pod Mierosławskim.

- Tam do licha!

- To był bohater! to największy wódz w świecie! Jakżem szczęśliwy, że pana widzę... Czy on żyje jeszcze?

- Nie, umarł.

- Umarł! - mówi Niemiec i siadłszy ciężko opuszcza ręce na kolana, a głowę na piersi.

Nie wiedziałem sam, co mam robić. Nie podzielałem entuzjazmu pana Billinga dla M., ale w tej chwili entuzjazm ten był mi miłym i pochlebiał mi. Tymczasem pan Billing zwycięża swój smutek i uwielbienie jego dla M. płynie kaskadą, wobec której niczym Niagara albo Yosemite Falls. O uszy moje objają się imiona kilku bohaterów starożytności, kilku ze średnich wieków, następnie Waszyngtona, Lafayetta, Kościuszki i Mierosławskiego; potem słyszę wyrazy takie, jak swoboda, postęp, cywilizacja - słyszę setkami, tysiącami. Wymowny generał miał widocznie wymownych szeregowców.

- To był człowiek idealny! - wykrzykuje na koniec mój gospodarz.

- Był czy nie był, mniejsza o to! - myślę sobie - ale faktem jest, że ty, pozytywny Niemcze, jeśli masz w sobie coś idealnego, to dziwnym zbiegiem okoliczności zawdzięczasz to Polakowi. Gdyby nie on, ergo, gdyby nie my, myśl twoja nie uleciałaby może nigdy ponad dolary, business i zyski ze swego hotelu. Łapałbyś tylko chciwie turystów jadących do Big Trees i skakał koło nich, jak koło mnie skakałeś, a teraz oto duch wyższy dmie przez ciebie jak przez dudy organów - i wyrzucasz słowa, które już skwaśniały jak stare piwo w Europie, ale które nie przestały być najszlachetniejszymi słowami, na jakie się zdobył język ludzki. W starej Europie jest tylko może jedyny kąs, gdzie je biorą jeszcze na serio i czasem wymawiają ze łzą w oku, a czasem z bólem, że inni poniewierają tymi skarbami lub na nich gwizdzą, jak na dziurawych orzechach. Ale trudno... I o owym kącie czasem także... trudno - o jak trudno! Co za pocziwy jakiś Niemiec; nie imponuje mu nic a nic Sadowa ani Sedan, on tylko wspomina M. i swoje Badeńskie. Co za pocziwy Niemiec! Adres jego: Billing's Hotel, Kalifornia, Mariposa County. Warto zanotować adres takiego Niemca. Trzebaż aż do Maripozy po niego jechać!

All right!

On tymczasem powtarza: „Ach ten M...!”, i obciera oczy, wyraźnie obciera oczy. Dusza złota!

- Tak mi miło, że pana widzę, jakbym się napił whisky z imbirem! - mówi do mnie.

Ściska moją dłoń, ściska ją po raz drugi, trzeci i zabiera się ku drzwiom. Przy drzwiach wali się ręką w czoło, aż plasło.

- Ale! - mówi. - Otom zapomniał! Przecie tu jest pański rodak.

- W Maripozie?

- Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry! On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

- Jakże się nazywa?

Niemiec staje i poczyną się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

- O! I don't know! Nie wiem! - mówi. - Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz, ledwie wstał, już mój Niemiec jeszcze przed brekfestem przyprowadził mi rodaka.

Natychmiast poznałem w nim starca, który wczoraj jadł ze mną obiad.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwiał we mnie od razu z jakąś dziwną uporczywością.

- Zostawiam panów samych - rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Po prawdzie, byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca, podobniejszego do Wernyhory niż do przeciętnego rodaka.

- Zwę się Putrament - ozwał się starzec. - A za nazwisko moje obce jest uszom twoim?

- Nazwisko moje M. - odparłem. - Pańskie obito mi się o uszy. Zdaje się z Litwy?

Coś istotnie przypominało mi się z Pana Tadeusza, coś "Putrament z Pikturną" w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

- Hę? - rzekł.

- Zdaje mi się z Litwy?

- Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja - odrzekł pan Putrament.

- Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? - pomyślałem - ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie?

- Pan dawno z kraju? - spytałem.

- Dwadzieścia dwa lata tu mieszkam i zaprawdę, pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście, starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. Co do mnie, byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San Francisco i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, to bym chyba zaczął wyć... Brr!... Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdała się pilnie pracować. Kilka razy jakby pragnął mówić i uciał. Widocznym było, iż sam czuł, że nie wyraża się jak każdy inny człowiek. Mówił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

- W ziemi dalekiej stęzał język mój i związały się wargi moje...

- Co prawda, to nie grzech! - pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec - myślałem - ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowolnie wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi, powtarzając:

- Rodak! rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzeć na niego, jakbym patrzył na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego. On wciąż patrzył na mnie.

- Co słyhać w ziemi naszej? - spytał.

Rozpuściłem język jak kołowrot, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich szanowna jego głowa kiwała się smutno - lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytania, zawsze tym samym poważnym, dziwnym i niewytłumaczonym dla mnie stylem.

Wszystko, com mu opowiadał, zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie wśród lasu może on dni całe myślał tylko o tym, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie! Tym żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem - unosisz ciało swoje, a duszy oderwać nie umiesz - i chodzisz jak błędna między innymi ludźmi! Ale rasa ta wymiera z wolna. Ja

wam opowiadam o jednym z ostatnich.

Opowiadanie zda się wymysłem, a jest rzeczywistością. Putrament może żyje jeszcze w swoim lesie, w bliskości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się, co następuje: Był pasiecznikiem, jak większość skwaterów. Nie jest zbyt ubogi. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego Indianina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze co dzień poluje. Zwierzyzny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptastwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przeredziły się znacznie. Jego "canyon" jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad - zresztą skały i góry, a na nich las i las nieprzebyty... Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno, bym go odwiedził, ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, więc z żalem nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham lub Jakub... Słowa: aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wždy - powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi, który pod ziemią przewędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu lub żył od owych czasów, jak owe Big Trees pobliskie. Ale prócz tego starego języka była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

- Powiedz mi, szanowny panie, skąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się. - Jedną książkę mam w domu: Biblię Wujka, którą czytuję co dzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich...

Teraz zrozumiałem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Maripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka, i nic dziwnego, że nie tylko jego słowa, ale i myśli ułożyły się do miary Biblii. Inaczej już po polsku nie umiał i nie mógł umieć; oddawał to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją Biblię każdego ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd - chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie.

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

- Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich krewnych? brata, swata, kogokolwiek, komu byś mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych potem począł potrząsać głową:

- Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

- Niech cię prowadzi Pan! - rzekł mi na drogę.

On zaraz wyjechał do lasu - ja, w dwa dni potem, do Big Trees. Gdym wsiadał do dylżansu, mister Billing wstrząsał moją ręką, jakby ją sobie chciał urwać na pamiątkę, i powtarzał:

- To był wielki człowiek, panie, ten M... Good bye! Good bye! Sehr grosser Mann!

W kwadrans potem otoczyły mnie lasy Maripozy. Nazajutrz rankiem myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w kanionie swoją Biblię...